Rocznik I. Kraków, 1 listopada 1899. Numer 5.



Zniżenie przedpłaty!

W roku przyszłym (1900) przedpłata na *Skarbnicę* zostanie **zniżoną**, t. j. wynosić będzie na rok tylko **2** złr. (**4** mk.). Każdy kto w grudniu b. r. nadeśle tę całoroczną przedpłatę, otrzyma jako bezpłatną premię: piękny **Kalendarz ścienny** na rok przyszły 1900.

Kto zaś zaprenumeruje **5** egzemplarzy *Skarbnicy*, otrzyma przez cały rok jeden egzemplarz za darmo, czyli zapłaci tylko za cztery egzemplarze.

Z Alwernii w Galicyi.

Klasztor św. Franciszka na górze Alwerni rozpoczął dalszą budowę wieży — ofiary przeważnie z pruskiego Śląska wpływają, a od Polaków w Galicyi bardzo rzadko. Podpisany prosi gorąco wszystkich Szanownych Czytelników *Skarbnicy*, aby zechcieli cegiełkę małą przesłać na tę budowę kosztowną, dla Pana Jezusa słynącego cudami w obrazie Alwernijskim.

Kto prześle ofiarę co najmniej **1** złr. (**2** marki) otrzyma **obraz wielki P. Jezusa fundacyjny i mieć będzie udział w Mszach św. 52,** co roku za życia i po śmierci (każdej niedzieli). Nazwiska ofiarujących należy przy przesyłce ofiary podać na przekazie poczty.

X. Stefan Podworski
Gwardyan
w Alwernii (poczta w miejscu).

Rok I. Kraków, 1 listopada 1899. Numer 5.

SKARBNICA

popularno-naukowa i powieściowa
dla ludu polskiego.
Wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 1-go.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:
w Austryi: na rok **2** złr. **50** ct. na pół roku **1** złr. **25** ct. —
W Niemczech: na rok **5** marek. — **W Ameryce**: rocznie **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

Pobożne uwagi i przykłady na miesiąc listopad.

Kto się nie modli za umarłych, dłuższe męki cierpi w Czyścu.

W pięknym opisie życia świętego Malachiasza Arcybiskupa Armageńskiego, święty Bernard wychwala jego miłość dla umarłych, a przeciwnie gani bardzo złe usposobienie niepobożnej siostry jego.

Ten święty prałat, będąc jeszcze dyakonem, lubił bywać na pogrzebach ubogich, modlił się za nich i często grzebał ich własnemi rękami, ćwicząc się tym sposobem w pokorze i miłości bliźniego, a że w tych dobrych uczynkach naśladował świętego męża Tobiasza, tak również jak on musiał być doświadczonym i kuszonym przez niewiastę, a raczej przez starego nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego.

Siostra jego, kobieta próżna i światowa, uważała za hańbę dla swojego rodu miłosierne uczynki braterskie i mówiła do niego z gniewem:

— Piękne rzemiosło sobie obrałeś zajmować się żebrakami i prostakami! Wstydziłbyś się tego! Czy to przystoi twojemu urodzeniu? Powiedziano: „Niechaj umarli grzebią swe umarłe i t. p." [1]). I tak przekręcając tekst Ewangelii św. dręczyła go swem narzekaniem i wymówkami.

[1]) Łuk. IX. 60.

Malachiasz odpowiadał jej łagodnie, ale stanowczo: „Nie wiesz co mówisz, biedna niewiasto! Znasz słowa Pisma świętego, ale nie rozumiesz ich znaczenia“. I nie przestawał spełniać uczynków miłosiernych, za co go Pan Bóg nagradzał wielką obfitością pociech wewnętrznych.

Jednakże pycha tej kobiety nie została bez ukarania. Umarła w młodym wieku i stanęła przed straszliwym Sędzią, który przenika skrytości serca.

Malachiasz, chociaż nie mało od niej cierpiał, wszakże gdy umarła, myślał tylko o potrzebach jej duszy i modlił się gorąco za nią; a czasu jednego słyszy we śnie głos: „Oto siostra twoja w sieni stoi, a już przez trzydzieści dni nic nie jadła“.

Przebudziwszy się za snu domyślił się, iż już trzydzieści dni przeszło, jako za nią Mszy św. nie ofiarował. Malachiasz, który się nie siostrą swoją, ale grzechem jej brzydził, wznowił ku niej opuszczone dobrodziejstwo: i nie długo widział ją, że już do drzwi kościelnych przyszła, wszakże jeszcze wnijść do kościoła nie mogła i w żałobnej sukni stała. Przeto się starał, aby żadnego dnia na zwykłym jej posiłku nie schodziło.

Ujrzał ją potem drugi raz, w sukni bielejącej się już do kościoła wpuszczoną, jednak Ołtarza się jej dotykać jeszcze nie dano; aż za trzecim razem postrzegł ją strojną w świetne szaty, szczęśliwą, w jaśniejącym gronie dusz błogosławionych, które, jak ona, wypłaciwszy się już sprawiedliwości Boskiej, opuszczały miejsce oczyszczenia. „To nam wskazuje, mówi św. Bernard, jak wielką jest potęga Ofiary Mszy św., która nas z grzechów oczyszcza i czyni miłymi przed Obliczem Boskiem“.

Powiemy tu jeszcze, jak wielką łaską Pan Bóg nagrodził Malachiaszowi za jego miłosierdzie dla dusz czyścowych.

Pewnego dnia zgromadził on około siebie niektóre pobożne osoby dla rozmowy duchownej, a zastanawiając się nad ostatniem przejściem z doczesności do wieczności, pytał każdego, gdzie i jak chciałby umrzeć. Jedni wybierali takie święto, inni drugie; ci w takiem miejscu, owi w innem itd. Gdy przyszła kolej na Świętego, aby myśl swoję wyraził, on rzekł: „Co do miejsca, jeżeli nie w Irlandyi, ojczyźnie mojej, to chciałbym umrzeć w klasztorze Klarewaleńskim (Clairvaux) świętego Bernarda, abym mógł zaraz korzystać z Ofiary Mszy świętej Jego świątobliwych zakonników. Co zaś do czasu, chciałbym umrzeć w dzień Zaduszny, abym miał udział we

wszystkich modlitwach, jakie w tym dniu Kościół ofiaruje za umarłych.

To pobożne jego życzenie spełniło się, bo w drodze, jadąc do Ojca świętego Eugeniusza III, właśnie w klasztorze Klarewaleńskim, mąż Boży zapadł w ciężką chorobę; zaraz zrozumiał, że go Pan Bóg wysłuchał, i zawołał z prorokiem: „Tu odpocznienie moje na wieki wieków: tu mieszkać będę bom je obrał“ [1]). I w rzeczy samej, nazajutrz po Wszystkich Świętych pobożny ten prałat oddał ducha Bogu i otrzymał koronę chwały wiecznej.

Męki czyścowe, chociaż przemijające, wydają się jednak bardzo długie.

Święty Augustyn gani zuchwałość jednego chrześcijanina swego czasu, który nauczał, że nie trzeba się obawiać czyśca, bo męki jego nie trwają wiecznie. „Mniejsza o to, jak długo będę w czyścu, mówił on, abym nareszcie dostał się do Nieba“. Święty mu odpowiada: „Niechaj nikt tak nie mówi: bo ogień oczyszczający straszniejszym jest nad wszelkie cierpienia ziemskie, choćby najsroższe one były“. Przykład następujący pokaże nam to.

Dwaj pobożni zakonnicy, których gorliwość w służbie Bożej połączyła ścisłą przyjaźnią, uczynili z sobą umowę zachęcać się wzajemnie do dobrego, pilnie pracować nad uświątobliwieniem duszy swojej. Gorliwi o chwałę Bożą i o zbawienie bliźniego, wzorem byli pokuty, umartwienia i wszystkich cnót zakonnych. Jeden z nich rychło zapadł w ciężką chorobę i zbliżał się do śmierci. Ukazał mu się Anioł Pański i oznajmił mu, że umrze prędko, że za swoje drobne uchybienia będzie w czyścu, dopóki się za niego nie odprawi Msza święta żałobna, potem pójdzie do nieba, gdzie go czeka wielka nagroda

Ucieszony tą nowiną zakonnik, wzywa swego przyjaciela, opowiada mu widzenie i prosi go na wszystko, aby po jego skonaniu jak najprędzej odprawiał Mszę świętą za jego duszę, co mu też przyrzekł najuroczyściej brat zasmucony i dotrzymał słowa. Bo gdy nazajutrz rano chory oddał ducha Bogu, wierny przyjaciel, zamknąwszy mu oczy, pobiegł co prędzej do zakrystyi, wziął na się szaty żałobne i pośpieszył do Ołtarza. We Mszy świętej gorąco się modlił, błagając Boga w Imię

[1]) Ps. CXXX. 14

Przenajświętszej Hostyi o przyjęcie do chwały wiecznej tej drogiej duszy, która mu zawsze wiernie służyła.

Zaledwie dokończył Mszy świętej, gdy w czasie dziękczynienia widzi przed sobą zmarłego brata, jaśniejącego chwałą, jednakże jakby lekki cień smutku na nim się odbija.

— Mój bracie, rzecze do niego; gdzież jest twoja obietnica? Dlaczegóż to więcej roku zostawiliście mię w ogniu czyścowym, i żaden z braci, ani ty, nie odprawiliście za mnie Mszy świętej, kiedyście wiedzieli, że do tego jest przywiązane moje wybawienie?

— Zaprawdę, zadziwiasz mię bardzo! zawoła zakonnik. Dotrzymałem najwierniej mego przyrzeczenia, bo natychmiast po śmierci twojej odprawiłem Mszę świętą i zaledwie w tej chwili zdjąłem ornat z siebie. Jakże możesz mówić, żem cały rok odwlekał, kiedy zaledwo jest parę godzin od twego skonania, i ciało twoje jeszcze nie pogrzebione.

Wtenczas dusza rzecze mu z bolesnem westchnieniem.

— Ach! jakże straszne są te męki, kiedy kilka godzin czasu wydały mi się jakby rok cały! Niechże będą dzięki Bogu miłosiernemu, że skrócił moje cierpienia! Dziękuję ci, drogi bracie, żeś mię z nich wybawił. Idę do Nieba, gdzie będę się modlił za ciebie, aby Pan Bóg nagrodził ci hojnie, coś dla mnie uczynił; abyśmy się na wieki połączyli w szczęściu i chwale, jak byliśmy tu złączeni w dniach utrapienia i walki. Żegnam cię! — to mówiąc zniknął.

(V. Jos. Harolius. De animabus serm., 100).

Cudowne błaganie o modlitwy.

Między licznymi cudami, jakie Pan Bóg zdziałał z okazyi publicznego nabożeństwa za umarłych, najgłośniejszym jest może ten, który się zdarzył w Mantui, w klasztorze świętego Wincentego wobec całego zgromadzenia.

Pewna zakonnica, imieniem Paula, zakonu św. Dominika wielkiemi cnotami ozdobiona, życie świątobliwe zakończyła śmiercią budującą i pełną zasługi. Ale przed obliczem Boga trzykroć świętego któż stanie bez skazy? kto nie potrzebuje oczyszczenia? W tymże klasztorze żyła wówczas błogosławiona Stefania Quinzani; odbierała ona wielkie łaski od Boga; jej to szczególnie polecono było modlić się za siostrę Paulę, tem bardziej, że te dwie święte dziewice złączone były ścisłą duchową przyjaźnią dla pożytku ich duszy. Ciało zmarłej zaniesiono do kościoła; wszystkie siostry, otaczając skromny kata-

falk, śpiewały pobożnie zwykłe nabożeństwo żałobne. Stefania rzewnym żalem zdjęta, w gorącej modlitwie zbliżyła się do katafalka. W tem umarła podnosi rękę z trumny, bierze ją za rękę i ściska tak mocno, że w żaden sposób tych rąk rozdzielić nie można było. Całe zgromadzenie zdumiało się niezmiernie. Więcej niż godzinę te dwie ręce mocno były ściśnione; potem przyszedł przełożony i rozkazał umarłej, w imię świętego posłuszeństwa, aby puściła rękę siostry Quinzani, co natychmiast uczyniła, jak gdyby władza przełożeńska i poza grobem istniała.

Co znaczyło to ściśnienie ręki? Stefania doskonale to zrozumiała. Czy Paula przemówiła do niej cudownie, czy też przez natchnienie — historya tego nie wyjaśnia; dosyć że tę rzecz tłómaczyła temi słowy: ratuj mię, siostro moja! ratuj mię w mękach, na jakie jestem skazaną! O! gdybyś wiedziała z jaką złością szatani nas kuszą w godzinę śmierci! gdybyś wiedziała, ile sprawiedliwy Sędzia wymaga od nas miłości! O! jak ściśle sądzi najmniejsze przewinienia! a potem jaka kara nim przyjdzie wieczna nagroda! i jak trzeba być czystą, aby dostać koronę chwały! Módl się za mnie teraz, siostro moja! módl się, błagam cię!

Stefania zrozumiała to rzewne błaganie swej przyjaciółki, i z całą gorącością ducha spełniała za nią różne praktyki pobożne, gdy nareszcie Pan Bóg objawił jej, że dusza Pauli do chwały niebieskiej przyjętą została.

Pod Bożą-Męką.

W pewnej wsi mieszkało dwóch braci: jeden z nich Antoni był wdowcem dobrze się mającym, bo jakoś szczęśliwiej od brata zdołał dorobić się majątku, choć obaj równym działem odziedziczyli po rodzicach należny spadek, równie pracowali i byli ludzie niestratni. Dlaczego się tak dzieje między ludźmi, trudno wiedzieć, ale musi to się dziać za wolą Bożą, bo cóż jest bez niej na świecie? Otóż Antoni miał się o wiele lepiej od brata Michała, bo i cząstkę dziedziczył piękną i gotówki miał, jak ludzie mówili pięknego grosiwa, a wszystko to spadało na jedyną córkę Magdzię, która mu po ukochanej żonie została, a po której to stracie więcej się już żenić nie chciał, choć usłużni ludzie raili panny i wdowy bogate.

Brat zaś jego, jak już mówiliśmy, nie tak się miał do-

brze; a trzeba było wychować czterech synów. Biedził się też zawsze, i bywało przyszedłszy do brata, dalej wyrzekać i lamentować, z czego żyć będzie, i co da dzieciom swoim w przyszłości.

— A cóż tam u licha, czyli w Boga miły bracie nie wierzycie, kiedy się tak ustawicznie biedzicie, mówił Antoni; a toć kogo Bóg stworzył, to i nie umorzył, pamięta On o najmniejszym ptaszynie, a o człowiekuby zapomniał?

— Dobrze wam mówić, — odpowiadał Michał, — bo macie co waszej córce zostawić po sobie, aby się między ludźmi nie sponiewierała po waszej śmierci, a ja co moim zostawię?

— A bodajbym i nic jej zostawić nie miał, — odpowiedział Antoni, — tobym się przecież tak nie poludzku jak wy nie turbował.

Dwóch tych braci, jak widzicie, byli zupełnie różnego sposobu myślenia od siebie. Antoni poprzestawał na tem, co miał i nie pragnął więcej, Michał pragnął zawsze pieniędzy i nie rozumiał innego szczęścia na ziemi nad bogactwo; do tego był skąpy i chciwy. Antoni zaś po chrześcijańsku wszystko odnosił do Boga i jako za złe, tak i za dobre dziękował Mu zarówno; klęska go żadna nie zraziła, szczęście nie oślepiło. Michał zaś za lada klęską ręce opuszczał. wyrzekał, a co gorsza, i co strach powiedzieć, bluźnił, że Bóg o nim zapomniał; a gdy mu szczęście w oczy zajrzało, podnosił w górę głowę, że i ludzi za ludzi znać nie chciał. Żona też jego Katarzyna równie chciwa na pieniądze, nie zawsze czysty grosz zbierała; bo bywało, jak pójdzie na targ do pobliskiego miasteczka, to umiała dla niecnego zysku oszukać na wadze lub miarze, przedając masło na pół z maślanką, a śmietanę zaprawną dla gęstości mąką.

Nim jeszcze dorosła Magdzia, umarł jej ojciec, a umierając, zdał opiekę majątku i dziecka bratu Michałowi. Zostało po Antonim majątku pięknego, bo i część wartająca z dziesięć tysięcy i gotówki pięknego grosiwa. Miała wtedy Magdzia lat dziesięć, gdy Michał upoważniony prawem, począł rządzić sierocym majątkiem nie po Bożemu.

Przyszło nareszcie do tego, że biednej Magdzi, dziedziczce pięknej fortuny, brakło na buciki, a dostatki pana Michała rosły jakoby na drożdżach.

Do tego biedna sierota krzyż pański cierpiała, bo była solą w oku opiekunom nieludzkim; nieraz też zalewała się gorzkiemi łzami, wspomniawszy domowe szczęście przy ojcu.

Tak znękana nieżyczliwością tych, co jej obrońcami być mieli, dorosłszy lat piętnastu, poszła w świat na służbę, wyrzekłszy się majątku.

Patrzeli na to ludzie, że Michał zabrał dostatek sierocy i urósł w pierze, patrzeli jak sierota dom stryja opuściła, nękana i biedzona, ale nikt o jej krzywdę nie upomniał się. Jedni mówili, jak to ludzie: a co nam tam do tego, drudzy: albo to nasze, żebyśmy się upominali, a niektórzy bezbożniki patrząc na szybki wzrost Michałowego majątku, mówili między sobą: powiadają ludzie, że krzywda sieroca sprowadza pomstę Bożą, a cóż złego Michałowi, choć ciężko ukrzywdził sierotę? — ma dostatki i dobrze mu!

Gdy nakoniec Michał tak bezbożnie zabrał majątek, postanowił podzielić nim synów i dnia jednego zawołał ich wszystkich, a kładąc w torbę skórzaną po tyciąc reńskich, rzekł im:

— Macie, to wasz majątek; idźcie z nim w świat dorabiać się z niego bogactw, i wyprowadził ich z ładownemi torbami za wieś dwie mile drogi pod Bożą-Mękę, od której rozchodziły się cztery drogi na cztery krańce świata, i rzekł znowu:

— Każdy z was pójdzie inną drogą i od dziś za lat sześć zejdziecie się pod ten krzyż wszyscy; i ja tu przyjdę, a który z was przyniesie więcej zarobionych pieniędzy, nagrodę hojną odemnie otrzyma

I pobłogosławił ich; ale błogosławieństwo ojca, co dzieciom swoim daje wydarte pieniądze na dorobek, to marna plewa. Potem Michał powrócił do wsi, a synowie poszli wskazanemi drogami. Po latach sześciu podług umowy zeszli się pod Bożą-Męką; aliści nie przynieśli majątku, ale puste torby na plecach i kije żebracze w rękach, a gdy nadszedł ojciec, zapytali go społem:

— Jakieżeśto dał nam ojcze pieniądze, co jak ślina marna przepadły?

— Ja, — rzekł pierwszy Tomasz, — kupiłem cząstkę i sześć lat rzucałem na darmo zdrowe ziarno w dobrze uprawną rolę, sąsiedzi moi zbierali obfite plony, a ja kąkol żąłem.

— Ja, — rzekł następnie Sylwester, — kupiłem młyn, na którym poprzednicy moi a posiadacze tegoż młyna porobili wielkie majątki; jam na darmo sześć lat mlewa wyglądał, na koniec wezbrała rzeka, czego nigdy nie bywało, młyn porwała i pieniądze zatopiła.

— A ja, — rzekł Kasper, — zadzierżawiłem stawy rybne, ale w nich ryby złowić nie mogłem, gdy poprzednicy moi korcami ich z wody wyciągali.

— Ja, — rzekł Bartłomiej, — zakupiłem pasiekę, co po dwieście garncy miodu wydawała z siebie, a jam z niej i dwóch garcy rocznie nie widział.

— Jakieżeśto dał nam pieniądze, ojcze miły? — ponowili znów synowie.

Trudną była odpowiedź Michałowi, bo trudno powiedzieć ojcu dzieciom: dałem wam wydarte pieniądze; rzekł im tylko:

— Idźcie w świat dzieci miłe, idźcie, bo już nic wam dać nie mam; straciłem żonę, straciłem i dostatki, wrócę do wsi po kij i torbę i pójdę za wami.

Rozeszli się bracia po świecie pokutować za winy rodzicielskie, włóczyć się z kijem i torbą, znosić poniżenie od ludzi, bo tak bywa z dziećmi rodziców, którzy dla ich wzbogacenia nie patrzą sposobów i nie chcą uznać tej świętej prawdy: że grosz tylko poczciwie zebrany zapewnia im przyszłość.

Michał pod Bożą-Męką chwilę pozostał; nie śmiał on wznieść oczu ku Zbawcy, co umarł na krzyżu dla odkupienia ludzkiego, bo prawa Jego pokalał, tylko ze spuszczoną głową stojąc, płakał serdecznie. Wrócił nareszcie do wsi i wyszedł z niej niebawem, a wtedy ci, co mówili, że niema kary za przywłaszczenie cudzego dobra, spoglądając za wlokącym się Michałem po żebraninie, rzekli: Boże zachowaj nas od sierocego grosza.

Skończył nareszcie Michał życie na pastuszym chlebie, ale gdzie? Zdziwicie się tem, co powiem. Oto u Magdzi, gdzie go zapewne wola Boska wiodła na wstyd i poniżenie; bo owa Magdzia, która bez grosza wyszła zpod dachu opiekuna nielitościwego, ma dziś wieś i jest panią, a jak to się stało, ciekawi zapewne jesteście?

Tak się stało, że Bóg nigdy pokrzywdzonej sieroty nie wypuszcza ze swej świętej opieki, i nagradza sam krzywdę przez złych ludzi jej wyrządzoną. Po wyjściu z domu stryja dostała się ona do bardzo bogatej pani już nie młodej i kaleki, na służbę; a że Magdzia pełniła przy niej sumiennie obowiązki swoje, zyskała też jej względy. Nareszcie widząc zbliżający się koniec swój owa pani, chcąc wynagrodzić Magdzi wierne i poczciwe dziesięcioletnie usługi, umierając, zapisała jej piętnaście tysięcy złotych, właśnie tyle, ile jej po

ojcu w spadku pozostało; poszła potem Magdzia dobrze za mąż, została panią, a Michał pastuchem. Poznał on zaraz Magdzię, przyjąwszy u niej służbę, ale nie poznała go Magdzia, tak go zgryzoty sumienia, owe najstraszniejsze męki, których człek sam jest zwykle przyczyną, zmieniły. Dopiero umierając, Michał wezwał panią swoją do siebie, dał się jej poznać, wyznał swe błędy i o przebaczenie błagał. Poczciwa Magdzia przebaczyła łacno, sprawiła potem uczciwy pogrzeb żałującemu grzesznikowi i dotąd modli się codziennie za jego duszę.

O ROLNIKACH W HOLANDYI.

Od zachodnich granic niemieckich ku morzu Północnemu rozciąga się płaszczyzna, poprzerzynana gęsto rzekami, usiana jeziorami, pełna mokradeł topiących, pełna torfowisk. Płaszczyzna ta, to Holandya, zwana także Niederlandyą.

Starodawne dzieje głoszą, że kiedy Rzymianom wypadło przechodzić raz przez ten kraj, to musieli usłać kilkumilową przestrzeń dębowemi deskami, i po nich dopiero przechodzili.

Zdawałoby się więc, że wszelka praca rolna jest w Holandyi niemożliwa, że lud tam ginie z głodu i nędzy, a oto jest przeciwnie, bo wieśniak holenderski jest nader pracowitym i przemyślnym.

Holendrzy nie czekali, aż im posucha umożliwi wypalanie torfowisk, lecz sami ułatwiali sobie tę czynność. Kopali przeto głębokie rowy, ściągali do nich wodę, a gdy przy lada pogodzie torfy wyschły, zapalali je, wypalali na 4 do 5 cali i zasiewali najpierw przez sześć lat grypą, a potem owsem i żytem.

A co przytem miewali niewygód, gdy gryzący dym rozchodził się po całej okolicy, wciskał się do domów, wyżerał oczy, płuca marnował!

Łatwo zrozumieć, że prowadzenie gospodarki rolnej na takich gruntach, to trudność nie lada, i zdawałoby się, że nawet człowiek najpracowitszy i najcierpliwszy nie zdoła nic zrobić. Bo do tego wszystkiego do kraju tego często wdzierały się fale morskie, a wylewy rzek pustoszyły i zalewały całe okolice, pochłaniając w swoje odmęty setki tysięcy ludzi i domostw. Nawet jeszcze w bieżącem stuleciu, w roku 1825, zatopiły fale morskie 40 najbogatszych wsi, 10 tysięcy krów i sto tysięcy owiec wtargnąwszy na ląd półwyspu holenderskiego.

Zdawałoby się, że w kraju tak niewdzięczną posiadającym glebę, ludność cała żyje w biedzie i nędzy, tem bardziej, że na 4 i pół miliona mieszkańców, jest tam dwa miliony gospodarzy, posiadających pokładów torfowych lub piasków najwyżej po dwa morgi.



Uprawne torfowiska w Holandyi.

W kraju naszym są gospodarze, co mają po 10, 20 i więcej morgów pola, a biedę klepią. Taki gospodarz zawstydziłby się i zaczerwieniłby się po uszy, gdyby zobaczył, co to ze swoich moczarów zrobili włościanie w Holandyi, ale bo też lud holenderski pracuje gorliwie i umie pracować.

Rolnictwo w Holandyi z natury jej gruntów dwóch głównie miało wrogów, tj. murszowatość wierzchnich pokładów gleby, przesiąkniętych zbytkiem wody, i jak wspomnieliśmy, zalewanie pól przez wody rzeczne i morskie. Z początku starali się czynić pokłady torfowe urodzajnemi przez to, że palili wierzchnie

jego warstwy. Wnet się jednak przekonali, że ten sposób uprawy roli nie jest korzystnym, bo nie zapewniał urodzajności na dłuższe lata, a w dodatku niszczono wielkie pokłady torfu, który, jak się potem przekonano, stanowił wielką wartość dla przemysłu.

Już więc w wieku 16-tym wpadli Holandczycy na myśl, aby nie marnować torfu przez palenie go. Więc poczęto kopać w najniżej położonych miejscach już nie rowy, ale głębokie kanały, przyczem prowadzono takowe do rzek, do kanałów zaś przekopano mnóstwo rowów, które przecinały torfowiska w różnych kierunkach, a zawsze ściągały wodę i odprowadzały ją daleko, osuszając tem samem torfowiska.

A co robiono dalej z torfowiskami? Oto wydobywano z nich torf, a odkryty w ten sposób grunt mięszali z nawozami i z mułem kanałów, rowów i rzek. Gdzieniegdzie znowu wydobyty z rowów lub kanałów torf rozwożono taczkami po deskach, a splantowawszy go równo na powierzchni, przykrywano go następnie wydobytym z rowów i kanałów piaskiem. Przez to podnoszono powierzchnię gruntu, przez co stawała się bardziej zabezpieczoną od zaskórnej wody, następnie nawożono ją na kilka cali piaskiem, co razem dawało zdumiewająco obfite plony zasiewów.

Owe zaś kanały nietylko osuszały grunta przyległe, lecz stawały się spławnemi drogami, i po nich to właściwie nawet z odległych stron, bo z nad morza zwożono piasek, glinę i muł rzeczny. I odwrotnie: do rzek i do morza kanałami temi odwozili i odwożą Holandczycy wyrobiony na doskonałych maszynach torf, za który grube biorą pieniądze.

Po przeczytaniu powyższego opisu, gdy spojrzymy na moczary, jakie się tu i owdzie w kraju naszym znajdują, i pożytku żadnego nie przynoszą, czyż nie przyjdzie nam na myśl, że u nas ludziom nie chce się pracować?

Wieśniak holenderski, to wzór pracy, pracy cierpliwej, prowadzonej z planem, o jakiej nasz wieśniak i pojęcia nie ma. Holenderczycy nietylko osuszyli swą glebę i uczynili ją bardzo urodzajną, ale nadto zabezpieczyli ją przed falami rzek i morza.

W tym celu biedni i ubodzy wiążą się w wielkie spółki, i wspólnemi siłami sypią olbrzymie tamy, które zatrzymują fale morskie, lub fale rozlewających się rzek.

Owe tamy ciągną się nieraz wzdłuż brzegu morskiego na kilka mil, i gdy z jednej strony tamy pływają okręty, z drugiej — spokojnie, bez strachu, pracuje na swej roli gospodarz.

Nie dosyć tego. Brzegi Holandyi miejscami są tak grząskie, że nawet ptak usiąść na nich nie jest w stanie. Otóż prawowity Holandczyk postanowił sobie i te błota przerobić na urodzajne łany.

Wyciągnął więc daleko w brzeg morski długie tamy, objął niemi jak klamrami owe grząskie błota, które też po pewnym czasie nie mając dopływu wody, obsychają. Resztę pozostałej



Wieśniacy w Holandyi.

tu wody wypompowuje wiatrakami, a dziś maszynami za tamę, i zabiera się do uprawy rozmaitych roślin.

W ten sposób Holandczycy wydzierają niejako morzu obszary lądowe, i doszli już do tego, że dziś zamyślają osuszyć zatokę Zujderzee, i zamienić ją na urodzajną glebę.

Koszta tego przedsięwzięcia będą olbrzymie, ale za to zdobędą nowe grunta, które dotąd są siedliskiem wody. Obliczono, że dzięki gorliwej pracy Holandczyków, w kraju tym przybywa codziennie po 5 morgów ziemi ornej.

Rolnictwo tego kraju jest ściśle zastosowane do rodzaju gruntów, powstałych z torfowisk i z błot. Pszenicy w Holandyi nie sieją: głównem ziarnem tamtejszego rolnika jest żyto, od wieków jest tu uprawiany rzepak i kartofle. Następnie każdy rolnik holenderski hoduje dużo lnu, konopi, tytoniu, a wszędzie niemal spotkać można liczne sady, zwłaszcza jabłoniowe, śliwne, i wiśniowe, których owoce zbywane bywają do Londynu. Ogólnie o rolnictwie w Holandyi można powiedzieć, że jest to kraj „kompostów“. Nigdzie nie potrafią rolnicy tak starannie, umiejętnie i z takim pożytkiem mieszać glinę, piasek, błoto, muł z kanałów, nieczystości z miast i t. d., jak w Holandyi.

Największą jednak troską otacza gospodarz w Holandyi



Chata wieśniaka holenderskiego.

swoje bydło, znane na cały świat, bydło holenderskie. Jak u nas nazywamy tego gospodarza zamożniejszym, który ma więcej morgów gruntu, tak w Holandyi ten znowu jest zamożniejszym, który posiada więcej krów.

Na rysunku wyżej podanym, widzimy chatę takiego gospodarza, który posiada 90 sztuk bydła. Przednią część tego domu, wyglądającego jak letni jaki pałac, zajmuje sam gospodarz, a tylną część budynku stanowią obory. Obory są zazwyczaj brukowane, a bruk ten bywa dziennie dwa razy zmywany i posypywany piaskiem; ściany obór są także zmywane, a boki wyparzane.

Na pastwisku podczas lata każda krowa pokryta jest derką płócienną, lub gęstą siatką, chroniącą zwierzę od owadów. Mycie krów i wycieranie ich szczotkami odbywa się co dzień,

a dawanie karmy i napoju odbywa się z nadzwyczajną punktualnością. Nie dziw więc, że rasa bydła holenderskiego wysoko jest cenioną na całym świecie, a włościanie w Holandyi są ludźmi bogatymi. Bydło swoje za drogie pieniądze sprzedają Holandczycy po świecie, a oprócz tego z mleka wyrabiają na miejscu ser i masło, które sprzedają do Niemiec i do Anglii.

Za sam ser przychodzi do Holandyi rocznie około 6 milionów reńskich, a za masło wywożone do Londynu przychodzi około 20 milionów reńskich rocznie, i to wszystko idzie do kieszeni wieśniaków.

Umiejętna a gorliwa praca uczyniła tedy rolnika w Holandyi bogatym i stworzyła mu życie przyjemne i wesołe. Zagrody włościan, jak to widać z rysunku wyżej podanego, wyglądają jakby pałacyki; są bardzo ładne, murowane, okolone drzewami, a ścieżki koło nich są czysto zamiatane.

Dom mieszkalny wewnątrz odznacza się wielką czystością; okna i ściany raz na tydzień są myte, sprzęty codziennie z kurzu obcierane, a gospodarz nigdy nie wejdzie do mieszkania swego lub cudzego w butach zabłoconych.

Dywany, piękne obrazy, nawet fortepian wszędzie się spotyka w domach włościańskich. Słowem, jak pola holenderskie, tak i domy włościan przedstawiają obraz wielkiego ładu, porządku i gorliwej a umiejętnej pracy. Takim przeto ludziom zawsze się może dobrze powodzić, i istotnie dobrze się powodzi. Zbogaciła ich oświata i praca, ale praca umiejętna.

Z powieści o Najświętszej Pannie.

Kmieć gościnny i pokutnik. Chłop zaproszony do nieba. Kary za grzechy. Płanetnicy. U dziedzica nieba i ziemi.

Pani dobroci pełna i miłości, każdy czyn dobry i każdą zasługę, którą człek bliźnim w Jej imieniu składa, czemś lepszem jeszcze nagrodzić mu rada.

Był kmieć niektóry, prosta, jasna dusza, pokorny P. Bogu, a ludziom oddany; biednemu gotów oddać pół sukmany, głodnemu chleba od ust nie poskąpił, gościowi z chaty byłby sam ustąpił.

Kędyś na drodze spotkał raz pielgrzyma, co wlókł się drogą znużony, cierpiący, z twarzą wybladłą z brodą po pas długą, z głową spieczoną tak słonecznym żarem, że z łysej

czaszki wszystkie włosy spadły, z oczyma w doły wbitemi głęboko, że zdał się ślepcem idącym o kiju.

— Dokąd to ojcze? — zagadnął przechodnia.

— Do grobu, — tamten odrzekł cichym głosem.

— Jedna nam droga wszystkim od kolebki, — odparł kmieć; — widzę, żeście się strudzili, bo ledwo nogi wleczecie za sobą. Grób nie ucieknie, a chata ma blisko, wstąpcie posilić wynędzniałe ciało i spocząć chwilę po dalekiej drodze.

— Pokutnik jestem z Bożego rozkazu, chodzę po świecie deptać grzechy moje; długiej pielgrzymki kres już niedaleki i łaska nieba będzie mym udziałem. Bóg zapłać tobie miłosierny człeku, co się mej doli litujesz poczciwie!... Z błogosławieństwem wejdę do twej chaty.

Przyjął gościnę i przy jednym stole podzielił jadło z kmieciem i napitek: wytchnął, wypoczął i pod wieczór dalej iść się zabierał, lecz na odchodnem rzecze:

— Gospodarzu, jam tylko sługa jednej możnej pani, więc sam od siebie wdzięczności nie spłacę; od niej wszelako należną podziękę złożę, gdy do dom wrócę i powiem o tobie. Więc w jej imieniu zapraszam cię bracie, byś za gościnę pod twym skromnym dachem u nas zagościł jutro, jeśli wola. Ja sam podwodę tu przyślę po ciebie?

— Gdzież to? — kmieć pyta; tamten rzeknie:

— W niebie.

I dnia drugiego wóz zajechał kuty, w parę bachmatów siwych zaprzężony, a mocny taki, że nim w każdą drogę, choćby do nieba, wybrać się bezpiecznie. Woźnica kaptur nasunął na czoło, że nawet oczu widać mu nie było, lejcami strząsnął, a konie z kopyta ruszyły rączo, jakby wiatr je poniósł.

*
* *

Jadą i jadą, słońce już wysoko, a o popasie nie ma ani mowy; lipcowe słonko parzyło z błękitu, żar płynął z nieba, spieka była wielka.

A oto z boku przy drodze staw leżał, niby jezioro leśne w chaszczach w gąszczu, a na jeziorze — niewidziane dziwo!— lód szkli się w słońcu, lód w lipcową porę...

Na lodzie ludzi jakowychś gromada, w białych sukmanach z ogorzałą twarzą, z wejrzeniem groźnem i ponurem wielce.

Stali przy ogniu roznieconem w koło i lód warzyli w kotłach, niby kaszę.

Kmieć się zadziwił i pyta woźnicy:

— Czary czy cuda, czy to sen, czy złuda?... Gdzieśmy wyjechali i w jaką krainę? Na niebie lipiec a luty na ziemi!... co to za ludzie?... jakby z mojej wioski...

Woźnica na to:

— Chłopy Matki Boskiej.

Kmieć głową kiwa i nic nie rozumie, na dziwy patrzy, a pojąć nie umie; więc znów zagadnie onego w kapturze:

— A cóż ci robią?...

— Robią grad na burzę.

— Cóż to za jedni?

— Płanetnicy przecie.

— Cóż to za naród?...

Leją deszcz po świecie, spuszczają grady i holują chmury, co uczepione na niebie za sznury: rzucają gromy na przestrogę ziemi; Najśw. Panna w górze rządzi niemi i bez Jej woli ani bez Jej wiedzy, grom nie roztrzaska ni wierzby ni miedzy.

Dziwi się bardzo kmieć temu ludowi, lecz pojechali prostą drogą dalej...

* * *

Za lasem patrzy, a tu nowe dziwa; przy drodze bagno, a w bagnie pod szyję, niby ropucha — niewiasta się wije; to się podźwignie, to znów w błocie tonie i do przejezdnych wyciąga swe dłonie.

— Przystańcie jeno — woła kmieć, — toż trzeba chrześcijańską duszę ratować w pośpiechu!...

— Daj spokój człeku — słyszy w odpowiedzi — to grzeszna dusza, cierpi z woli nieba, bo za żywota tonęła tak w grzechu; niech teraz w bagnie za pokutę siedzi. Ze swojej studni żałowała wody spragnionym bliźnim w spiekę dla ochłody.

I pojechali prostą drogą dalej...

Kmieć patrzy znowu, a tu z jednej strony ściele się paszy pysznej łan zielony, a z drugiej piaski, krzemienie i gruda; na tej się pasie owiec trzoda tłusta, choć pod nią ziemia jałowa i pusta, zaś w tamtej żyznej brodzi trzódka chuda i nienasytnie skubie bez pożytku paszę, co w koło porasta do zbytku.

— A tóż co znowu! — kmieć zdziwiony woła — te tyją w piasku, a tamte chudzięta, choć je obficie karmi ziemia święta?...

— Nie dziw się Bożym wyrokom człowiecze, — poważnym głosem woźnica odrzecze, — te chude owce i nienasycone, to dusze ludzkie tu głodem trapione za to, że w życiu nie chciały znać miary i jak najwięcej pragnęły zachłannie, więc za to teraz głodne nieustannie.

A owce tłuste, co na piaskach żyją, skubną źdźbło trawy i od niego tyją, bo za żywota na marnem przestały, nie pragnąc więcej po nad to, co miały. Umiarkowanie Pan Bóg wynagrodzi!...

Kmieć się zadumał i jechali dalej...

Nagle na drodze wóz spłoszył dwa woły, co się rogami bodły tak zażarcie, że krew czerwona płynęła z nich strugą.

Woźnica ręką wskazał je kmieciowi i rzekł:

— To widzisz, były dwa sąsiady co wciąż za życia w kłótni i niezgodzie, wiodły ze sobą procesa i zwady o skrawek roli, o marną piędź ziemi, więc teraz jeden wciąż drugiego bodzie, a czart im ostrzy rogi kłami swemi.

* * *

I tak po drodze spotykali dziwne przygody i dziwne postacie, samych dusz grzesznych smutne widowisko, aż dojechali już pod niebo blisko na kwietną łąkę, pełną cudnej woni, po której skromna, cicha Pani biała, chodziła z pękiem polnych kwiatów w dłoni i niezabudki nad strumykiem rwała.

A cudną była jak zorza przedświtu, a jasna taka, jak z blasku księżyca, a święta dobroć świeciła jej z lica, że aż się oczy tuliły z zachwytu...

Kmieć już nie pytał, co zacz ta Przeczysta, bo sercem odgadł, że to Matka Chrysta.

Padł na kolana i w piersi się walił, i oczy zamknął przed widzeniem świętem, i głowę skłonił jak przed Sakramentem, i jęknął z głębi zachwyconej duszy, jakby w kościele podczas Podniesienia i nie śmiał więcej oczu zwrócić na Nią, szepcąc:

— Niegodnym spojrzeć na tę Panią!...

Tak przejechali a za nimi płynęła z łąki woń i pieśń.

Śpiewała Najśw. Panna nabożną litanię, zrywając kwiaty błyszczące na błoniu: złotą dziewannę, która wdzięki daje, pełne koszyczki, w których szczęście leży i polne lilie, co czystości godłem.

* * *

A kmieć dojechał na tym prostym wozie przed samą bramę Bożego pałacu, gdzie go pokutnik znajomy już czekał i wraz w wspaniałe podwoje prowadził.

Chrystus prostaczka powitał łaskawie, zrobił mu miejsce na swej złotej ławie, przy stole swoim, jak gościa posadził i podejmował, jako dzieci ziemi.

Potem w komnatę z samych gwiazd srebrzystych, weszła Marya z dziewicami swemi, ze świtą cudnych Aniołów w orszaku, a sam Bóg Ojciec wiódł ją uroczyście.

Kmieć dech zapierał i patrzał, i słuchał, i nie śmiał głosu ze siebie wydobyć, i sam nie wiedział już, co z sobą robić, w takiem dostojnem towarzystwie i bał się tylko, by nie wybuchł płaczem.

I patrzał, jakby zemknąć stąd cichaczem.

Bóg Ojciec okno otworzył w komnacie, wyjrzał, przeżegnał świat na wszystkie strony i spytał kmiecia:

— Urodzaje macie? a ten tą łaską pańską ośmielony, odrzekł przytomnie dziedzicowi nieba:

— Dziękować Bogu, obrodziło chleba.

— Więc go w miłości spożyjcie i zgodzie! — rzekł mu Bóg Ojciec i westchnął głęboko.

Kmieć się do kolan pochylił z podzięką, a Bóg krzyż nad nim zrobił świętą ręką i dał znak, aby posłuchanie skrócić; Marya Panna łaskawa dla ludu, spytała kmiecia, czyby nie chciał czego, jakowej łaski lub jakiego cudu, a on Jej na to:

— Chcę do swoich wrócić?...

Więc go kazali odwieźć znów na ziemię, aby żądanie miał swoje spełnione; wrócił i chodził po świecie szczęśliwy, rozpamiętując te niebieskie dziwy, aż go spotkała raz śmierć zadyszana i widząc, że się swoją miedzą wlecze, woła:

— A gdzieżeś ty się skrywał człecze? toż ja cię szukam sto lat już bez mała!

I wreszcie kmiecia jak swego zabrała.

Nowe badania nad dżumą.

Straszna zaraza, dżuma, zawitała już do Europy i osiedliła się najpierw w Portugalii, gdzie zabrała już i zabiera dosyć ofiar.

Nie daj Boże, aby do nas doszła, ale to bardzo możliwe, więc należy poznać wcześnie tego wroga, by potem z nim walczyć.

Doktór Simond, Francuz, który miał sposobność badania długo chorych na dżumę, podaje ciekawe wnioski co do rozpowszechniania się dżumy.

Jest faktem, powiada on, że dżuma pomiędzy ludźmi, wybucha równocześnie w kilku miejscach i nie przenosi się z jednego chorego do drugiego: poprzedza ją zaraza pomiędzy szczurami, podlegającymi dżumie na równi z ludźmi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa szczury te są właśnie rozsadnikami zarazy; szczury, a raczej, biorąc rzecz ściślej, pchły, które się gnieżdżą w sierści i w skórze szczurów.

Dr. Simond spostrzegł, że ktokolwiek dotknie się padłego podczas dżumy szczura, chociaż go weźmie tylko końcami palców za ogon, ten niechybnie zapadnie na dżumę. Zdechły zaś przed kilku godzinami szczur, nie jest niebezpiecznym. I dlaczego? Oto dlatego, że nie ma już na nim pcheł. Owady te żywią się krwią chorego zwierzęcia, zawierają w sobie mnóstwo bakteryj (drobno-ustrojów czyli żyjątek) wywołujących dżumę. Skoro więc taka pchła ukąsi człowieka, to do jego krwi dostaną się niechybnie zarazki dżumy. Kiedy jednak szczur zdechnie, to po pewnym czasie owe pchły opuszczają go, rozpraszają się na wszystkie strony i roznoszą chorobę na ludzi i zwierzęta. Szczur padły na dżumę jest więc rozsadnikiem dżumy.

Doświadczenia wykazały, że straszna ta choroba nie udziela się przez dotknięcie się zakażonego, ani przez wydzieliny, tylko potrzeba, aby zarazki dostały się do krwi, a to sprawiają pasożyty, pchły, które przedtem karmiły się krwią zadżumionego człowieka lub szczura.

Wogóle owady, według nowych odkryć, należą do stworzeń bardzo niebezpiecznych podczas dżumy, bo ją roznoszą, podobnie jak roznoszą i inne choroby, n. p. muchy przenoszą przez ukąszenie na człowieka karbunkuł, suchoty i t. d.

Strzeżmy się więc komarów i much. Ochraniajmy przed niemi nasze jedzenie, nasze usta, mieszkania i naczynia kuchenne. Najwięksi to może wrogowie naszego życia i zdrowia.

Jak matka kocha.

Był człowiek, który nie chciał pisać dla uczonych i wielkich; był człowiek, który chciał, by wierzono jego słowom, by go słuchano z zajęciem, a żegnano z żalem, był to człowiek, który chciał, by słuchaczom jego policzki barwił rumieniec za-

jęcia, a oczy iskrzyły się ciekawością — był to Andersen, a słuchaczami jego były dzieci. On opowiadał bajki, one go słuchały.

Ale i ludzie dorośli chcą czasem być dziećmi i pragną posłuchać opowiadania prostego, serdecznego, czytają Andersena i zachwycają się jego bajkami.

Bo poeta ten umie tak pięknie opowiadać o cierpieniach małego pieniążka, o ciekawości świeczki łojowej i miłości ołowianego żołnierza, że choć mu się nie wierzy, jednak się go słucha z miłym uśmiechem.

Posłuchajcie, jak opisuje on miłość matki:

Śmierć zabrała matce dziecię, i matka poszła szukać tej śmierci, by odebrać swoje dziecko. Ale nie wie ona, w którą stronę iść trzeba, by śmierć tę znaleźć, więc pyta drzewka świerkowego. A świerk powiada:

— Uściśnij mnie, przyciśnij mnie do nagiej piersi tak, jak przyciskałaś swoje dziecko, powiem ci.

I krwią skropiła matka ostre igły drzewka. I poszła wskazaną drogą. I pytała każdego, i oddała czarownicy zęby swoje, oddała włosy swe bujne, wypłakała swe oczy, których żądał król rzeki, i doszła tam, gdzie mieszka śmierć, i zawołała:

— Oddaj mi dziecko moje!

A śmierć zaprowadziła ją nad brzeg głębokiej studni i rzekła:

— Spójrz w studnię.

— Kiedy nie mam oczów.

— Czyń tak, jak ci radzę.

Spojrzała matka w studnię i ujrzała widocznie coś strasznego, bo pobladła.

— Co to jest? — pyta.

— To przyszłość twego dziecka, jeśli mi je odbierzesz.

I matka uczyniła największą ofiarę: zostawiła śmierci swe dziecię, bo nie chciała, by tyle cierpiało...

Był poeta wielki, który miał słuchaczami nie dzieci, ale królów. Napisał on wiersz taki:

Pewna matka miała syna, a ten syn miał żonę, którą kochał bez pamięci, lecz ona go nie kochała.

— Co mam uczynić, byś mnie pokochała? — pyta.

— Daj mi serce twojej matki.

I syn wydarł matce serce i niósł je do żony. Ale nogi zadrżały pod nim, i upadł na schodach, a serce matki tocząc się na dół, zapytało z trwogą:

— Synu, czyś się nie uderzył?

„Uczucie matki — mówi jeden z współczesnych myślicieli — to namiętna miłość i święta ofiara, a miłość matki jest silną do bohaterstwa i czułą, jak kwiat lotosu. Miłość matki posiada pazury lwicy do obrony dziecka i czułość kwiatu, niedowierza ona, cierpi i zazdrości“.

I serce matki wszędzie jednakie: na mroźnej północy, w spieczonej słońcem Afryce, na wschodzie i zachodzie. Ani kolor twarzy, ani stopień wykształcenia, ani stanowisko materyalne nie wpływa na uczucie kobiety — matki. Ale kobiety, które nie kochają swych dzieci, są istotami choremi, nieszczęśliwemi, godnemi litości. Matka kocha — to prawo Boga, to głos natury.

Jesień a zdrowie nasze.

(Wedle księdza Kneippa).

Każda pora roku trwa tylko 3 miesiące; jakże prędko każda z nich przychodzi, zwłaszcza jeśli jest dla człowieka pomyślną, jak wiosna i lato. Wiosnę witamy z radością, ponieważ z każdym dniem widać w przyrodzie więcej życia, każdy zaś dzień jest dłuższy, tak iż dłużej podziwiać możemy przebudzanie się natury; ze smutkiem jednak spoglądamy na jesień, każdy dzień bowiem jest krótszy, a cała przyroda podobna suchotnikowi, który z dniem każdym staje się bledszym i coraz bardziej do grobu się zbliża. Z ustaniem ciepła, z nadejściem krótszych dni, nadchodzi pora mroźna, zimna, wiatry i deszcze; zdarzają się też czasami dni ciepłe jak na wiosnę, nie mają one jednakże wpływu na całe życie przyrody, podobnie jest czasami lepiej choremu, upadającemu pod brzemieniem cierpienia, tak, że mówi, że jest znowu zdrowym zupełnie; trwa to jednak tylko czas krótki.

Cóż ma uczynić ziemski wędrowiec w jesieni, chcąc się na zimę przysposobić?

Hartowanie ciała w jesieni. Wiosną trzeba się zahartować na lato, w jesieni zaś na zimę. Główną zasadą zahartowania się jest: Zatrzymaj latową suknię jak można najdłużej; ponieważ zaś w jesieni zdarzają się dni łagodne, suknia więc latowa długo wystarczyć może.

Trzeba jednakże być przygotowanym na zimne dni jesienne i wiedzieć, jak zasłonić ciało przed zbyt nagłą zmianą. Znałem chłopa, który używał latem podartych koszul swych, które zbyt silnie ciała nie okrywały; z nadejściem dni zimnych

nakładał mniej znoszone koszule, twierdząc, iż grube płótno jest najlepszą osłoną od zimna dni jesiennych. Znałem dalej robotnika, który niezgorsze roboty w domu i poza domem wykonywał boso; na szyi zawiązywał tylko małą chusteczkę zakrywającą kołnierzyk, dalej nosił drylichowe spodnie, takie same jak latem. Tym sposobem chronił się od złych skutków, które dni jesienne na ciało wywierają.

Prawdą jest rzeczywiście: kto długo chodzi boso w jesieni, ten ma zawsze ciepłe nogi, a skoro ma ciepłe nogi, to widać, że posiada dość krwi do ogrzania ciała. Kto ma ciepłe nogi, nie marznie na całem ciele, chociaż nosi latowe suknie. Kto hartuje głowę, szyję i piersi na zimno i nie okrywa ich zbyt wcześnie zimowemi rzeczami, ten się najlepiej zaopatrzył, a zmiana zimna i ciepła w tej porze z pewnością mu nie zaszkodzi. Zmiana bowiem zimna i ciepła hartuje ciało i czyni je wytrzymałem. Doświadczyłem tego przez wiele lat na sobie, zostawiając staranie naturze i nie potrzebowałem się obawiać nieżytu lub innych cierpień, które zmiana pory roku za sobą pociąga. Zachować trzeba największą ostrożność w późnej jesieni; gdy zima stoi już przed drzwiami i gdy zwiastuny jej już w jesieni czuć się dają, nie trzeba tylko zbyt nagle okrywać ciała ciepłemi rzeczami.

Tak jak z ciałem, trzeba też z pomieszkaniem postępować, rozpoczynając jego ogrzewanie. Piec w pokoju jest tem, czem krew w ciele ludzkiem. Jeżeli ciało ma potrzebną zawartość ciepła, nie potrzeba się o szyję, nogi i ręce obawiać, bo jeśli krew w ciele dostatecznie ogrzana, ogrzewa ona wtedy wszystkie jego części. Kto głowę, szyję i piersi zbyt ciepło okrywa, ten z pewnością doprowadzi do rozpieszczenia; wtedy niejako otworzył drzwi wszelkim cierpieniom, które nagła zmiana zimna i ciepła w głowie, szyi i innych częściach ciała spowodować może.

Któreż to są najniebezpieczniejsze skutki? W pierwszym rzędzie nieżyty (katary), które przy rozpieszczeniu z pewnością nas nie ominą, jak nieżyt nosa, gardła, płuc i t. d. Aby się przekonać o tem, owiń twoje zahartowane gardło w ciepły, gruby szal, a dostaniesz już po kilku godzinach kataru. Mając odkrytą szyję, nie potrzebujesz się niczego obawiać, chyba że popełnisz jaką nieostrożność.

Znałem studenta, który miał zawsze szyję i piersi odkryte, nosił bowiem otwartą koszulę; gdy w stolicy nastały zimne dni, przechadzał się po głównej ulicy, aby każdy w Monachium mógł widzieć, iż się zimna nietylko nie boi, ale mu

i czoło stawia. Nie był on wcale silnie zbudowany, raczej chudy niż otyły, mimo to nie słyszałem nigdy, aby mówił, że skutkiem zimnego monachijskiego powietrza dostał kataru. Na nogach miał obszerne skórzane buty bez szkarpeiek, ale mógł śmiało powiedzieć, iż ciepło mu było bez nich. Gdy trzewiki są duże, tworzy się w nich powietrze ciepłe, nogi zaś mają wygodę. Z ciasnoty krew ucieka, ciepło więc tworzyć się nie może.

Tak samo dzieje się tym, którzy zbyt wcześnie noszą rękawiczki. Nie chcę zupełnie odrzucać rękawiczek, twierdzę jednak, że ci, którzy ich nie noszą, mają zazwyczaj najcieplejsze i najwytrzymalsze na zimno ręce. Kto zawsze nosi rękawiczki, ten ma w zimie ręce lodowato zimne, w lecie zaś także nie ma prawidłowo ciepłych. Ręce jego są zawsze wilgotne i nieczyste, brak bowiem tym ścieśnionym częściom parowania i obiegu krwi. Uciekając się podczas silniejszych mrozów do cieplejszych ubrań, trzeba ich tylko używać w miarę wzmagania się zimna.

Znałem syna pewnego wieśniaka, który latem nosił słomiany kapelusz, w jesieni i częściowo w zimi pilśniowy, a tylko podczas silnych mrozów futrzaną czapkę. Z ustąpieniem mrozów brał pilśniowy kapelusz, a z nadejściem ciepła słomiany. Trzeba przedewszystkiem starać się w rozsądny sposób przeprowadzić zahartowanie i pozostawić powietrzu główną w tem pracę. Ciało przebywa tedy z łatwością wszystkie pory roku.

SKARB UKRYTY.

(Z podań i baśni ludowych).

Możny jeden, ale zły i łakomy szlachcic, choć bez pracy wziął dziedzictwem liczne a zyskowne włości, i skarbiec w złoto, w srebro bogaty, nie przestając wszelakoż na tem co posiadał, całe życie łożył tylko na pomnożenie zbiorów, nie dbając w swem zaślepieniu, czyli godziwie, albo niegodziwie. Więc nie dość, że przez wiek wszystek nie wsparł biednego w potrzebie, chociażby kawałkiem chleba, ale na podobieństwo upiora, co się człowieczą krwią tuczy, wyciskał z ludzi ostatnie mienie i krew ich.

Ludzie nieszczęśni we włościach jego, pracą i głodem wycieńczeni srodze, podobniejsi byli zmorom, niżeli żywym stworzeniom; pomimo to przecie, okrutny pan coraz to srożej ich gnębił. Lud marzł w zimie w lichych chatach, przez

pół z poszycia odartych, bez iskierki ognia w piecu, bo skąpy szlachcic z niezmiernych kniei nie dał wziąć gałązki drzewa; na przednowku marł z puchliny, żołędziowego najadłszy się chleba; w lecie ginął w niemocy od znoju i skwarów; w jesień z pijaństwa, przepijając w arendzie całoroczną pracę: bo pan za wymuszoną gwałtem robociznę zawdy kartkami na gorzałkę płacił. A tymczasem skarby skąpca rosły z każdym dniem widomie.

Darmo mu ludzie pobożni, darmo bogobojna żona, przypominali, by się upamiętał, grożąc za ludzką krzywdę sprawiedliwą karą Bożą, on śmiał się z gróźb i przestróg, a żonie pogroził pięścią, by mu w sprawy nie wglądała.

Jako zaś łakomi ludzie nikomu wierzyć nie radzi, ale własnego cienia ustrzedzby się chcieli, tak też i ten oto chciwiec, trwożliwy o swe pieniądze, wynalazłszy w zwaliskach starego lamusu opustoszałą piwnicę, poprzenosił do nich jednej nocy wszystkie skarby tajemnie. Nazajutrz, było li to dopuszczenie Boże, czy że się okrutnik dźwigając noc całą oberwał, legł chory w łożu; a nie chcąc wołać ani lekarza, ani księdza, ażeby im nie zapłacił, skonał, klnąc w chwili śmierci niebu i ziemi. Że był szlachcic i bogaty, chociaż zmarł bez rozgrzeszenia, pochowano go jednak za wsią na cmentarzu, w lochach pod starą kaplicą.

Aleć w kilka dni po jego pogrzebie, ukazał się znak widomy, jako o pomstę do Boga woła krzywda biednych, i jako dusza, co się za żywota w ziemskich utopiła dobrach, po śmierci odjąć się od nich nie mogąc, cierpi męki potępienia. Każdego dnia o północy, widywali wszyscy ludzie, umarły dziedzic wychodził z cmentarza, śmiertelnym okryty całunem; a obszedłszy w koło gumna, znikał w sadzie poza dworem, i aż nad samem dopiero świtaniem powracał nazad do grobu.

Z razu trwoga niesłychana ogarnęła gminę całą przed tak okropnem zjawieniem: o zmroku już żadna żywa dusza nie śmiała zajrzeć do sadu, a z nadchodzącą północą wszystko kryło się po chatach, i z drżeniem słuchało, ścisnąwszy się w kupę, ponurego owczarskich psów wycia, gdy mimo gumien szedł potępieniec. Wszakże pomału, pomału, nawet dzieci i kobiety oswoiły się ze strachem; a co śmielszych chłopaków wzięła piec ciekawość, wyśledzić w sadzie upiora co robi? Uwziąwszy się więc, wypatrzyli rychło, że strach wszedłszy do sadu, kroczył do starego lamusu, i znikał w jego zwaliskach do świtu.

To gdy nazajutrz w karczmie rozpowiadali chłopaki, starzy odgadnęli zaraz, że pewnie na miejscu owem zmarły przechował pieniądze; szli zatem na dwór do pani, którą serdecznie kochali, radząc, żeby szukać kazała. Wyprawieni ze dwora słudzy szukali pilnie dzień cały, napracowali się srodze, przerzucając stosy gruzów; a wieczór, nic nie znalazłszy, wrócili znużeni do domu.

Był zaś tam we dworze na ów czas parobek, imieniem Jan, jedyny, czy do roboty, do wypitki i wybitki, a zuch i zawadyaka, coby djabłu nie zszedł z drogi. Ten za dni kilka po marnem szukaniu, przyszedł do pokoju pani, a pokłoniwszy się do kolan jej, prosił, by pozwoliła mu na swą rękę szukać skarbu.

– Pan Bóg z tobą miły Janku! — odpowiedziała mu wdowa, — jeśli On ci dopomoże, ja daję wolność ku temu; a gdybyś za Jego wolą przenajświętszą co znalazł, podzielim się sprawiedliwie.

W tenże więc dzień, kiedy zmierzchło dobrze, a był wieczór dżdżysty i ciemny, Jan szedł z rodzonym bratem na cmentarz Otwarli wrota kaplicy, odemknęli ciężkie żelazne drzwi grobów, i śmiały parobczak, skrzesawszy ognia, spuścił się do lochu, przykazawszy bratu wchód za sobą zawalić, zamknąć napowrót kaplicę, a we wsi nie powiadać o niczem nikomu.

Przy jasnym blasku smolnego łuczywa, znalazł wnet trumnę swego niegdyś pana, świecącą między innemi świeżym złocistym galonem. Tuż obok niej stała druga, z prostego dębowego drzewa, zdrowa jeszcze, jakby dziś spuszczona: Jan odćwiekował ją żywo, wyjął leżącego w niej trupa, i zawłokłszy w kąt lochu, sam jego okrył się całunem, a potem legł cichutko w trumnie, wiekiem się przysłaniając. Nie długo leżał, a oto i północ przyszła. Potępieniec z okropnym poruszył się jękiem, odrzucił wieko z łoskotem, powstał: a blada posępna łuna, bijąca od jego trupiej głowy, oświeciła cały loch. Jan, patrząc nań przez szparę, czuł jak mu zimne mrowie od wielkiego palca w nogach szło do głowy, i włosy dębem stawały; lecz nie czas było namyślać się już: zebrał całą odwagę do serca, i odrzuciwszy wierzch z trumny, stanął przed swoim nieboszczykiem panem.

— Kto tutaj? — podziemnym głosem odezwało się widmo.

— Ja to, Jan Zmora, parobek twój panie.

— Po co tu przyszedłeś?

— Służyć ci, panie, po śmierci, jakom ci służył za żywota.

— Żywyś ty, czy umarły? — zapytał strach.

— A dyć umarły, mój panie. Nie mogłem żyć już dłużej ze strasznego żalu po moim drogim panisku; a konając uprosiłem, żeby mnie chociaż przy was pogrzebali.

Upiór nie dowierzając obszedł go w koło, wietrząc, czy żywej nie poczuje duszy; ale Jan tak się od stóp do głów trupim owinął całunem, że cuchnął wszędzie niby trup.

— Kiedyżeś umarł?

— W niedzielę.

— A kiedyś chowany?

— Dzisiaj o południu.

— A na którą idziesz drogę?

— Na tę, co i ty, mój panie! bo cię na krok nie odstąpię.

— To chodź ze mną — rzecze nieboszczyk. — No, idźże przodem.

— Nie, mój panie! idź ty przodem, a ja za tobą, jakom chodził za życia.

Szedł tedy upiór milcząc po schodach ku górze, a Jan za nim krok w krok tuż. Kiedy stanęli u wnijścia, umarły zawołał głośno:

— Otwórzcie się drzwi! — i ogromne drzwi żelazne odwaliły się z łoskotem.

Minęli ciemną kaplicę, i znów na rozkaz upiora otwarły się jej podwoje. Kiedy pośrodkiem cmentarza, wązką przechodzili ścieżką, Jan widział w lewo i w prawo gromady duchów powstające z mogił: jedne klękały przy krzyżach swoich, modląc się z cicha, drugie siadłszy na mogiłach, jęczały i łkały smutnie, a upiory i strzygi biegły za cmentarz z ludzi krew przez noc ssać.

Z cmentarza zwyczajną drogą kroczył potępieniec ku dworowi, i ominąwszy gumna, wszedł do sadu, a wreszcie między zwaliska lamusu.

— Otwórzcie się! — zawołał umarły, — i ogromny kamień leżący u wnijścia odwalił się na bok, odkrywając zbutwiałe schody piwnicy. Nieboszczyk przodem, parobek śmiały za nim, weszli do pustego sklepu, krwawem gorejącego światłem.

Na okrąg ścian w kotłach, w garncach mnogich stały złote i srebrne pieniądze, czyszcząc się z grzechów swojego

pana we krwawym płomieniu; w pośrodku leżał wielki płaski głaz.

— Licz pieniądze! — ponuro odezwało się straszydło.

— Licz ty je sam, panie, jakoś je za życia liczył, — odpowiedział Jan, parobczak.

Umarły wtedy począł na płaskim kamieniu liczyć, garnek po garnku, kocioł biorąc po kotle, pieniądze, od ostatniego poczynając, a na pierwszym kończąc groszu. Kiedy zaś wszystkie policzył, zawołał na parobczaka:

— No! czas nam już nazad w drogę, — i wyszedł z lochu, Jan za nim.

— Zamknij się! — zawołał parobek; gdy wyszli na wierzch ziemi; ale na słowa żywego człowieka kamień został nieporuszony, zostawując wolny wchód do skarbów. I podwoje u kaplicy, i drzwi żelazne u grobu, również otworem zostały, choć Jan zamknąć im się rozkazywał.

Zaledwie podążyli znijść po schodach między trumny, kury ozwały się we dworze, i umarły bezwładny upadł znów na swoje posłanie, grobowa jasność zgasła na jego twarzy, a wieko samo zatrzasło się na trumnie. Śmiały parobczak natenczas, ażeby upiór nie mógł więcej wstawać, przebódł mu serce osikowem kołem, a trumnę lipowem łykiem dziesięćkroć obwiązał. Potem wyszedłszy z lochu do kaplicy, klęknął przed ołtarzem, dziękując Bogu za łaskę, którą mu okazać raczył.

Gdy zaś dobry był już dzień, poszedłszy z wieścią dobrą do pani, kazał założyć cztery fury, po cztery konie, i przewiózł niemi z lamusu skarb wszystek. Nakoniec za zgodą pani, Jana i gminy całej tak rozdzielono znalezione pieniądze; jednę ćwierć dano na kościół; drugą wszystkim biednym ludziom, których nieboszczyk krzywdził za żywota; trzecia część dostała się wdowie pańskiej, czwarta, parobkowi Jankowi.

Tak Jan z chudego pachołka zostawszy bogaczem, zakupił sobie tęgi kawał ziemi, i w pracy, uczciwości, a prostocie świętej żył długo na Mazurach, opowiadając, gdy mu się gość zdarzył, jakową sztuką znalazł skarb ukryty.

ROZMAITOŚCI.

Koniec świata przepowiadają na dzień 13 listopada tego roku. Wielka kometa ma zmieść ogonem naszą ziemię. Były czasy, gdy podobne wieści tumaniły umysły tysięcy ludzi, którzy pod ich

wpływem rujnowali doszczętnie dobytek: jedni dla zbawienia duszy przedsiębrali dalekie podróże i rozdawali pieniądze biednym, drudzy przepijali wszystko. Dziś mniej skłonni jesteśmy do wiary w bałamutne proroctwa, a i nauka wyjaśniła wiele dawniej nieznanych szczegółów.

Dziś wie już każdy niemal, że kometa nie jest ani ciałem stałem, któreby mogło przy spotkaniu z ziemią rozbić ją, zmiażdżyć i w proch obrócić, ani nie jest płynem, któryby mógł zatopić ziemię i zgładzić wszystkie żyjące na niej istoty. Kometa składa się z jądra i ogona, a jądro i ogon jest masą gazową, zbiorem gazów nieskończenie rozrzedzonych. Gdyby gazy komety były tak gęste, jak powietrze, to spotkanie ziemi z kometą — powietrzem wytworzyłoby tak silny wiatr, że choć nie sprzątnąłby naszej ziemi, mógłby nas wymieść z ziemi w przestworza. Ale gazy komety są miliony razy rzadsze od powietrza.

Co się tyczy ogonów komet, ciągnących się na dziesiątki milionów mil, to są one tak nikłe, że nic nam złego uczynić nie są w stanie. A wreszcie mieliśmy już tego strasznego gościa kilka razy, a zachowywał się przecież bez zarzutu, jak w 1770 roku, tak i w 1805 i 1882 latach. A był od nas wcale niedaleko, jakieś tam 12 milionów milek.

Zresztą o końcu świata i dniu sądu Pańskiego, ani Aniołowie nie wiedzą, tylko sam Pan Bóg.

List Sobieskiego. W jednem z pism amerykańskich wydrukował p. Smoliński nieznane dotąd dokumenty, tyczące się oswobodzenia Wiednia przez króla polskiego Jana Sobieskiego.

Jest to list króla pisany do Kapucyna, ks. Marka d'Aviano, zawierający ciekawe szczegóły o bitwie dnia 31 października 1683 r. oraz dwa listy poczmistrza weneckiego do poczmistrza bergamskiego z dnia 20 i 22 września 1683 roku. Z tych listów pokazuje się, że wojsko tureckie pod Wiedniem liczyło 296 tysięcy ludzi, a chrześcijańskie 101.382, mianowicie: załoga Wiednia 29.382, armia Sobieskiego 24 tysiące, sprzymierzeńcy 48 tysięcy.

Figle i żarty.

W szpitalu leżał stary pijak, a gdy lekarz odbył rewizyę, rzekł do niego:

— Kochany przyjacielu, musisz umierać, bo wewnątrz wszystko popalone.

— To nie moja wina, — odrzekł pijak — to się musiało stać w nocy, gdyż we dnie zawsze ostro gasiłem.

U pisarza w gminie. Jak waszemu chłopu na przezwisko?

— Wawrzyniec Kogut, — sprawiedliwie kogut.

— Łżesz babo!

— O la Boga! co mam łgać, dyć ja kiele niego dwadzieścia dwa roki.

— Żeby on był kogut, tobyś mi choć z parę kurcząt przyniosła.